

**LATE  
TO  
THE  
PARTY**



KELLY QUINDLEN

**LATE**

**TO**

**THE**

**PARTY**

Przekład: Zuzanna Byczek



Tytuł oryginału: *Late To The Party*

First published by Roaring Brook Press, a division of Holtzbrinck Publishing Holdings Limited Partnership.

Text copyright © 2020 by Kelly Quindlen

Permission for this edition was arranged through the Gallt and Zacker Literary Agency, LLC.

Cover illustration copyright © 2020 by Kerri Resnick

Ilustracje wykorzystane na okładce: © MSSA/Shutterstock.com,

© judyjump/Shutterstock.com, © Meriannah/Shutterstock.com,

© Yuliyana Velchev/Shutterstock.com

Redakcja: Marta Tojza

Korekta: Renata Kuk, Magdalena Magiera

Skład i łamanie: Robert Majcher

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-204-7

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

Druk i oprawa: Abedik

Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

*Mojej matce chrzestnej, Patty Kearney Lister.  
Dziękuję za to, że widzisz nas takimi,  
jacy jesteśmy naprawdę.*





Był pierwszy dzień lata. Padało, ale nie aż tak, żeby zniechęcić ludzi do korzystania z basenu. Obserwowaliśmy ich z samochodu Maritzy, który stał na górnym poziomie klubowego parkingu, z pracującymi wycieraczkami i pomrukującym silnikiem. JaKory siedział wychylony z tylnego fotela, jego ramię zawadzało o moje, ale właściwie nie zwracałam na to uwagi. Patrzyłam jak za hipnotyzowana na grupkę pływającą w deszczu.

– Wejźmy, chociaż na chwilkę – powiedziała Maritza. Stała się nadać głosowi odważne brzmienie, ale ja wyczuwałam w nim napięcie.

JaKory gwałtownie wciągnął powietrze.

– Nie, dzięki – odparł, kręcąc głową. – Będzie padać coraz mocniej, w dodatku może zacząć grzmieć. Serio, nie powinni się dzieć w wodzie.

Grupka składała się z dzieciaków w naszym wieku, siedmiorga, może ośmiorga. Chlapali na siebie nawzajem, skakali z trampoliny, obściskiwali się po kątach. Nasz samochód stał tuż przy

bramie, zaledwie kilka metrów od basenu, na tyle blisko, że widzieliśmy ich szerokie uśmiechy. Zastanawiałam się, czy ich znamy, czy chodzimy do tej samej szkoły. Zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo mnie przerażają.

– Oni tu mieszkają? – spytała Maritza.

– Nie wiem – odrzekłam, jeszcze uważniej wpatrując się w ich rozradowane twarze. – Pewnie tak.

Powinnam wiedzieć, w końcu mieszkalam w tej okolicy, ale na wielką, rozległą dzielnicę składało się tyle domów, że trudno było się zorientować, kto w nich wszystkich rezyduje.

– Wygląda na to, że świetnie się bawią – zauważyła Maritza z wygłodniałą miną.

– A jak wpakują się w kłopoty? – rzucił JaKory. – Ratownicy mogą ich wyrzucić i zabronić wstępu.

Jeden z nich właśnie dmuchał w gwizdek tak mocno, że dźwięk docierał do wnętrza zamkniętego samochodu, ale dzieciaki w basenie całkowicie go zignorowały. Pod zadaszeniem z łazienkami stał zwykle widywany na pływalni tłumek: matki z małymi dziećmi, instruktorzy. Wszyscy ciasno owinięci ręcznikami i obserwujący z niedowierzaniem szalone wyczyny młodzieży.

Maritza zerknęła na mnie.

– Codi, co zamierzasz?

Po niebie przetoczył się grzmot, ale dzieciaki nawet nie zwróciły na to uwagi: właśnie zaczęły walkę kogutów, dziewczyny siedzące facetom na ramionach głośno piszczały w siekącym ukośnie deszczu. Czułam ucisk w żołądku, jakby moje ciało pragnęło do nich dołączyć, znaleźć się w wodzie, stęsknione czystej braury. Ostatnio to uczucie pojawiała się coraz częściej.



– Moglibyśmy jeszcze poczekać... – powiedziałam.

– Czekamy już dziesięć minut. Czas ruszyć dupska i coś postanowić.

Jej ostry ton trochę mnie zirytował, ale wiedziałam z doświadczenia, że Maritza strofuje bardziej samą siebie niż nas. Zawsze była swoją najsurowszą krytyczką.

– Może pójdziemy do domu i obejrzymy film? – zaproponował JaKory. – Popływać możemy jutro.

Maritza zawahała się, nie odrywając wzroku od basenu. W końcu przekręciła kluczyk w stacyjce, sięgnęła do tyłu i chwyciła ręcznik.

– Maritza – jęknął JaKory.

– No co? – spytała piskliwie. – Marzymy o pływaniu od kilku tygodni. Nie zamierzam zrezygnować tylko dlatego, że pogoda odmówiła współpracy. Poza tym tamci siedzą w basenie, to niby czemu my nie możemy?

Pytanie miało być retoryczne, ale zabrzmiało raczej jak błagalna prośba. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. W końcu Maritza otworzyła drzwi, narzuciła ręcznik na swoje ciemne kędzierzawe włosy i pobiegła. JaKory i ja ponownie wymieniliśmy spojrzenia, oboje świadomi dalszego rozwoju sytuacji, po czym również złapaliśmy ręczniki i pomknęliśmy za Maritzą.

Łało jak z cebra. Buty momentalnie mi przemokły, ręcznik na głowie okazał się bezużyteczny. W ciągu kilku sekund deszcz jeszcze przybrał na sile. Walił w nas z całą mocą. Akurat w chwili, gdy dogoniliśmy Maritzę, zerwał się gwałtowny wiatr, a drzewa zaczęły tańczyć. Niebem wstrząsnął kolejny grzmot.

– Może to nie był mój najlepszy pomysł! – krzyknęła Maritza.

– Poważnie? – zawołał JaKory.

Uwiesiliśmy się bramy, kurczowo zaciskając dłonie na prętach. Woda w basenie burzyła się jak morska fala, a chłopaki i dziewczyny pokrzykiwały z radości. Jedna z dziewcząt pływała na plecach z zamkniętymi oczami, woda uderzała w nią ze wszystkich stron.

Zerknęłam na dwójkę swoich najlepszych przyjaciół. Wpatrywali się w rozbawione dzieciaki i wyglądali na tak samo przerażonych z niewiadomych powodów, jak ja.

– Wracam! – krzyknął JaKory. – Otwórz!

Maritza też zawróciła, z daleka mierząc kluczykami w samochód, ja jednak nie mogłam oderwać wzroku od basenu.

– Codi! – zawołała Maritza. – No chodź!

Spojrzałam raz jeszcze i pobiegłam za nimi.

Od dawna nie padało pierwszego dnia wakacji. Wiem to na pewno, ponieważ przez pięć ostatnich lat z rzędu Maritza, JaKory i ja chodziliśmy w tym dniu popływać. Tradycyjnie spotykaliśmy się u mnie w domu, pakowaliśmy przekąski do turystycznej łódki i dreptaliśmy w klapkach pod palącym, późnomajowym słońcem do osiedlowego klubu. „Klub” brzmi może snobistycznie, ale podobna instytucja znajdowała się w każdej podmiejskiej dzielnicy Atlanty i w każdej takiej placówce była pływalnia pełna berbeci w przemokniętych pieluchach, dzieciaków świeżo po kursie pływania i dzielnych matek, które dopiero co przeniosły się ze Środkowego Zachodu czy Północnego Wschodu, pełne nadziei, że nawiążą przyjaźnie w tym nieokreślonym, po części typowo południowym, a po części takim jak wszędzie, miejscu. No i my: trójka nastolatków chlapiących się w płytkiej części basenu, pochłoniętych grą w celebrytów, ćwiczących skoki w tył

i bawiących się w zgadywanie, jaką piosenkę śpiewa JaKory pod wodą.

Rozpoczęliśmy tę tradycję dzień po zakończeniu szóstej klasy. Tego dnia Maritza i JaKory pojawili się na progu mojego domu wyposażeni w kostiumy kąpielowe, pistolety na wodę i wakacyjne lektury, a ja byłam tak zdenerwowana i podekscytowana, że w ramach podziękowania za to, że po mnie przyszli, namalowałam ich portrety. Żenujące, wiem, ale musicie zrozumieć, że wcześniej, zanim w szóstej klasie poznałam ich dwoje, nigdy nie udało mi się nawiązać bliższej przyjaźni, w każdym razie żadna nie przetrwała dłużej niż rok. I wiedziałam, że w ich przypadku było tak samo, bo kiedy kilka dni później odwiedziłam ich w domach, okazało się, że Maritza przykleiła swój portret taśmą do lustra, a JaKory umieścił swój nad półką z ulubionymi książkami.

– Ale jestem na nim ładna i cool – stwierdziła Maritza z promiennym uśmiechem.

– Mama powiedziała, że udało ci się uchwycić moją istotę – dodał JaKory, starając się nie robić zbyt zadowolonej miny.

Bez słowa zanurzyłam się w ich komplementach, czułam się tak, jakbym połknęła słońce.

Podczas ostatniej Gwiazdki odgrzebaliśmy te portrety i o mało nie umarliśmy ze śmiechu. Ani trochę nie przypominały moich przyjaciół. Podobizna Maritzy nie oddawała jej niezgrabnej sylwetki, grubych brwi i ptasiego nosa. Portret JaKory'ego nie uchwycił kościstych łokci, wysuszonej skóry na nogach i wiecznie zmartwionej miny. Namalowałam ich tak, jak ja ich widziałam, a nie tak, jak widziało ich otoczenie, a teraz zaczynałam dostrzegać różnicę.

– W twojej interpretacji wyglądamy na totalnie zajebiste osoby – zaśmiała się Maritza, gdy już się napatrzyliśmy.

– Błogosławiona niewiedza – stwierdził JaKory, z rozbawieniem kręcąc głową. – Pamiętacie, jak kiedyś przez cały miesiąc ćwiczyliśmy układ do tej piosenki Céline Dion? Nie mieliśmy pojęcia, że nie jesteśmy cool.

– O rany – mruknęła Maritza i nagle umilkła. – Chyba nadal nie mamy.

Myślałam o tej rozmowie przez kilka tygodni, zastanawiając się, czy to prawda, czy właśnie tak postrzegają nas inni. Może. Może dla nich Maritza była tylko tą niezdarną, szczerą do bólu tancerką z burzą zmierzwionych włosów, JaKory chudym, neurotycznym czarnym nerdem z obsesją na punkcie Tumblra, a ja nieśmiałą, wycofaną, właściwie niewidzialną malarką, która nigdy nie ma odwagi podnieść ręki. Może właśnie dlatego nigdy nie przytrafiało nam się nic „prawdziwego”.

Zakończyliśmy przedostatnią klasę szkoły średniej i teoretycznie w naszym życiu powinny się dziać rzeczy wielkie i istotne, i – jak określał je JaKory, chociaż bardzo prosiłyśmy z Maritzą, żeby tak nie mówił – „brzemienne potencjałem”. Ale niestety, nic nie wydawało mi się ani wielkie, ani istotne, ani pełne potencjału. Dojrzeliliśmy, urosliśmy, może staliśmy się odrobinę mniej niezdarni niż jeszcze rok wcześniej, ale w sumie wkraczanie w dorosłość malowało się w moich oczach jako pasmo spotkań w ścisłym gronie naszej trójki i niczym nie różniło się od tego, co było wcześniej, nie niosło żadnych zmian.

Wiecie, w jaki sposób dorośli zawsze mówią o nastolatkach? W czwartej klasie przejeżdżałam z rodzicami obok domu owinię-

tęgo papierem toaletowym, a tata pokręcił głową i chichocząc, mruknął pod nosem: „Nastolatki”. Mama wyrzekała na Nastolatków każdego roku w czerwcu, gdy ciemne sylwetki zwisały z drabinek na przyklubowym placu zabaw długo po godzinach zamknięcia, ale nigdy nie mówiła tego ze złością, raczej z pełną tęsknoty zadumą. No i te wszystkie seriale i filmy, w których trzydziestoletni aktorzy udają licealistów, chodzą na randki, jeżdżą szybkimi samochodami i tańczą na szalonych domówkach, a ich koledzy bujają się na żyrandolach i rzygają na sztuczne drzewka choinkowe. Dorastasz z takim wyobrażeniem Nastolatków, wizją szalonego, ekscytującego, oszałamiającego życia, łamanie zasad, zdobywania doświadczeń seksualnych, Życia przez wielkie Ż i wiesz, że jest ci przeznaczone pewnego dnia stać się jedną z nich, ale nagle masz siedemnaście lat i patrzysz, jak inni skaczą do basenu w ulewnym deszczu, i uświadamiasz sobie, że nie stałaś się prawdziwą Nastolatką i być może już nigdy to nie nastąpi.

Tęgo samego popołudnia o drugiej trzydzieści siedzieliśmy wysuszeni u mnie w piwnicy, oglądaliśmy drugi film i ucztowaliśmy przy napojach gazowanych, żelkach owocowych z sokiem i nachosach piętrzących się na stoliku do kawy. Maritza i ja podzieliłyśmy się paczką żelków, bo ja lubiłam tylko czerwone, ona tylko niebieskie, a JaKory nie lubił ich wcale ze względu na „nietolerancję konsystencji”.

– Może by ci posmakowały, gdybyś spróbował ich razem z nachosem – zaproponowała Maritza, podsuwając mu żelka. – No dalej, Kory, odwagi.

– Idź precz, szatanie – odparł JaKory, lekko ją odpychając.

– Ej, weź, JaKory – dorzuciłam, również podając mu nachosa z żelkiem. – Razem świetnie smakują. Zaraz zshipujesz tę dwójkę bohaterów.

Pochwyciłam spojrzenie Maritzy. Uwielbiałyśmy nabijać się z zjawek JaKory’ego w temacie fandomów.

– Nawet się nie obejrzymy, a będziesz pisać o nich fanfiki – dodała Maritza z szelmowskim uśmiechem. – „O, żelku mój mały, jesteś taki soczysty, tryśnij dla mnie raz jeszcze, tak bardzo cię proszę”.

– Zamknij te plugawe usta – powiedział JaKory, a ja ze śmiechu padłam na oparcie kanapy. – Byłabyś fatalną pisarką.

Maritza zrobiła autentycznie urażoną minę.

– Byłabym świetną pisarką.

– A może skupicie się na filmie? – zasugerował JaKory. – Czy wreszcie przyznacie, że jest koszmarnie nudny?

– Nie jest nudny – zaprotestowałam, wpatrzona w kobiety na ekranie. – Spójrz tylko, jakie one są piękne.

– Pokazali na zbliżeniu, jak się pochyła nad skrzynką na listy – zauważył sucho JaKory.

– Kobiety wyglądają pięknie w przeróżnych pozach, kolego – odparła Maritza swoim wszystkimiedzącym głosem. – Ale ty nigdy tego nie zrozumiesz.

– Jakoś nie cierpię z tego powodu – stwierdził JaKory. – Nie ważne, lesbijski czy nie, ten film jest po prostu okropny. Obejrzyjmy coś innego. Może romans gejowski?

– Uee – odpowiedziałyśmy zgodnym chórem.

– Lubicie mieć przewagę liczebną, ale wychodzi na to, że ciągle oglądam te wasze durne filmy z serii „dziewczyna poznaje

dziewczynę”, nawet najgłupsze dramy, w których jedną pożera potwór morski czy coś w tym stylu.

– Ale to nie jest drama – zauważyła Maritza. – To komedia.

– No, serio, uśmiełem się jak norka.

– Dobra – odparła Maritza, rzucając mu pilota. – Sam wybierz.

Zapuć coś na maksa gejowskiego.

Zdaje się, że był to kolejny zasadniczy aspekt naszej sytuacji: kwestia orientacji seksualnej.

Cztery miesiące temu, pewnego mroźnego styczniowego wieczoru oglądaliśmy u mnie Netflix, gdy nagle Maritza zaczęła się zachowywać dziwnie nerwowo. Prawie nie reagowała na to, co mówimy.

– Co jest? – zapytałam wreszcie, zatrzymując film.

Maritza otworzyła i zamknęła usta, jakby brakowało jej słów.

– No? – JaKory ściągnął brwi. – Znowu popuściłaś w majty?

– Pierdol się – warknęła Maritza i walnęła go poduszką. – To zdarzyło się tylko raz.

– Ej, o co chodzi? – powtórzyłam, wrywając poduszkę z rąk JaKory’ego, zanim zdążył wziąć odwet.

– A więc... – zaczęła Maritza drżącym głosem. – Wiecie, że bujam się w Bransonie?

– No i?

– Naprawdę mi się podoba. Serio, uważam, że jest superseksowny i...

– A gdzie sensacyjne wieści? – spytał JaKory.

– Zamknij się, dupku. Chodzi o to, że... no, zabujałam się w kimś jeszcze i... eee... nie jest to facet.

Nigdy dotąd nie widziałam Maritzy tak kruchej i bezbronnej. JaKory i ja patrzyliśmy na nią przez długą chwilę, po czym

spojrzeliśmy na siebie, żeby sprawdzić, czy na pewno dobrze zrozumieliśmy. A potem JaKory zacisnął dłonie i zaczął sypać dramatycznymi tekstami jak: „Dzięki ci, Boże”, „Chwalmy Pana”, „Ujrzałem światło”, aż wreszcie Maritza walnęła go w brzuch, a on wrzasnął:

– Też jestem homo! Tak bardzo, że sam nie ogarniam!

– Ale ja nie jestem, JaKory, nie słyszałeś, co powiedziałam?

Lubię to i to!

– Dobra, jesteście bi! Nieistotne!

I padli sobie w ramiona, śmiejąc się z ulgą. Maritza w uniesieniu nawet cmoknęła JaKory’ego w czoło, a on raz po raz ocierał łzy. Ja tylko siedziałam osłupiała, czekając, aż się uspokoją. JaKory raczej mnie nie zaskoczył – od dawna zastanawialiśmy się z Maritzą, czy nie jest gejem – ale jej wyznanie zdecydowanie było dla mnie szokujące.

Wiedziałam, że moja kolej, by coś powiedzieć, ale słowa utknęły mi w gardle. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakbym chciała zatrzymać czas, zapamiętać tę chwilę w najdrobniejszych szczegółach, od łez szczęścia na twarzy JaKory’ego po strukturę mechanych pomarańczowych skarpetek Maritzy. Czułam, jak serce mocno mi wali, świadome znaczenia tego wszystkiego.

Po minucie Maritza stwierdziła:

– No, to chyba możemy spokojnie gadać razem o chłopakach.

I wtedy wybuchnęłam śmiechem. Tamci wbili we mnie wzrok, pokręciłam głową, a słowa same popłynęły:

– Nie możemy. Bo wychodzi na to, że podobają mi się dziewczyny.

Śmiaлиśmy się tak strasznie, że wreszcie skończyliśmy na podłodze. Maritza raz po raz ścisnęła nasze dłonie, a JaKory powtarzał:



– Co na to teoria prawdopodobieństwa?

Potem mama zawołała nas na kolację. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, próbując ukryć porozumiewawcze uśmiešky, aż JaKory zakrzuszył się wodą, gdy mój tata zapytał, czy ma ochotę na kiełbasę.

Uważam za dość znaczące, że cała nasza trójka okazała się nieheteronormatywna. A może wcale nie. Może nasza orientacja jedynie wyjaśniała, dlaczego zawsze czuliśmy się nieco różni od reszty dzieciaków, dlaczego nigdy z nikim innym nie poczuliśmy takiej więzi. Tak czy inaczej, wtedy tylko utwierdziłam się w przekonaniu, że nigdy nie spotkam nikogo, kto by mnie rozumiał tak jak Maritza i JaKory.

Nadal nie powiedzieliśmy o tym rodzicom. Rodzice Maritzy byli zagorzałymi katolikami, mama JaKory'ego harowała ponad siły jako pielęgniarka w szpitalu i do niczego innego nie miała głowy, a moi już i tak uważali mnie za dziwadło. Cóż, nie odziedziczyłam po nich idealnego amerykańskiego uroku. Ale chodziło o coś więcej. Nikomu nie powiedzieliśmy, ponieważ po prostu nie miało to większego znaczenia. Jeszcze nawet z nikim się nie całowałam, JaKory też nie. A Maritza tylko raz, podczas zeszłorocznych wakacji w Panamie, z chłopakiem, który kumpłował się z jej kuzynami. Krótko mówiąc, nie zebraliśmy żadnych doświadczeń, po co więc informować świat o swojej orientacji? Nasza seksualność – czy, jak to czasem ujmował JaKory, „upodobalność” – była czymś, czego wprawdzie byliśmy całkowicie pewni, ale jeszcze nie zdążyliśmy tego wypróbować.

Problem polegał na tym, że zaczynałam wątpić, czy kiedykolwiek się to zmieni.

– Jezu, chcę chłopaka – oznajmił JaKory, nie odrywając z hipnotyzowanego wzroku od ekranu i przyciskając poduszkę do piersi, jakby to miało mu pomóc.

– Ja też – zawtórowała mu Maritza. – Albo dziewczynę. Osobę, do której mogłabym wysyłać flirciarskie esemesy i z którą mogłabym się obściskiwać, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

– No, i w końcu zrobić coś więcej, niż tylko się obściskiwać – dodał JaKory, poruszając brwiami. – Ale zanim to nastąpi, trzeba zrobić pierwszy krok. – Wziął głęboki oddech i westchnął. – Kurde, tak strasznie chciałbym się z kimś całować. A wy nie?

Wtuliłam się mocniej w pled. Nie miałam za bardzo ochoty rozmyślać o przykrym fakcie, że w wieku siedemnastu lat jeszcze z nikim się nie całowałam. Owszem, moi przyjaciele chcieli o tym rozmawiać, ale ja nigdy nie miałam nic do powiedzenia. Pewnie dlatego, że w gruncie rzeczy wiedziałam, że samo gadanie w żaden sposób mi nie pomoże.

– Ja już się całowałam – podkreśliła z wyższością Maritza. Lubiła przypominać nam o tym osiągnięciu przynajmniej raz w tygodniu. Pochwyciłam wzrok JaKory’ego i zrobiłam gest, jakbym waliła samą siebie po twarzy.

– Widzę cię, dupku – powiedziała Maritza, rzucając we mnie żelkiem.

– Wiem – odparłam, oddając jej. – A tak przy okazji, to całowałaś się z chłopakiem.

– To się liczy, Codi. Podobają mi się faceci.

– Aha, a nie chcesz całować się też z dziewczyną?

Maritza milczała. Ostatnio stała się przewrażliwiona na punkcie swojej biseksualności i przez chwilę bałam się, że ją obraziłam.

– Jasne, że chcę – odparła szorstko. – I nawet wydaje mi się, że będzie lepiej niż z chłopakiem.

– W jakim sensie? – spytałam.

– Nie wiem. Może... delikatniej.

– Ja tam wolę namiętność od delikatności – stwierdził JaKory, kręcąc głową. – Chcę coś poczuć. Chcę, żeby to było... jak chwila, gdy słyszysz wers genialnej poezji. Żeby odebrało mi dech w piersiach.

– Moim zdaniem przypomina to raczej tę chwilę, kiedy znajdujesz się na samej górze rollercoastera, dosłownie na sekundę przed zjazdem – stwierdziła Maritza.

JaKory się skrzywił.

– Wiesz, że nienawidzę rollercoasterów.

– No i co z tego? Tak czy inaczej, znasz to uczucie, motyle w brzuchu, serce wali jak szalone...

– I wrażenie, że zaraz zemdleję albo zarzygam wszystko dookoła...

– Codi, jak myślisz?

Wbijałam wzrok w ekran, żeby na nich nie patrzeć.

– Nie jestem pewna – odparłam, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie. Wcale nie chciałam słuchać o ich fantazjach, żenowało mnie to niemal równie mocno, jak mój własny brak doświadczenia.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś? – drążyła Maritza.

Odczekałam chwilę. Tamci milczeli.

– Nie wiem – odparłam w końcu. – To chyba... Nie chcę za bardzo o tym myśleć, chciałabym przeżyć niespodziankę, kiedy to się wreszcie wydarzy.

Dalej milczeli. Po chwili Maritza powiedziała:

– Ale takie podejście chyba nie bierze pod uwagę sprawczości?

Przekrzywiłam głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Że co?

– Chodzi mi o to, że... nie możesz oczekiwać, że twój pierwszy pocałunek będzie niespodzianką. W jakimś stopniu sama musisz podzielać. No bo gdybym nie rzucała aluzyjnych tekstów ani nie starała się spotkać z E.J., nigdy byśmy się nie pocałowali.

Poczułam, jak rytm mojego serca przyspiesza. To było typowe dla Maritzy uważać, że rozgryzła jakiś temat, wiedziałam jednak, że ma rację, tylko nie chciałam tego przyznać. Problem polegał na tym, że nie miałam pojęcia, jak „podzielać”. Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć.

Słowa Maritzy pożarły całą energię z pomieszczenia. Żadne z nas nie patrzyło na resztę, wszyscy siedzieliśmy pogrążeni we własnych myślach. W końcu JaKory się odezwał, wbijając wzrok w podłogę:

– Moja mama rozstała się z Philipem.

Razem z Maritzą jednocześnie uniosłyśmy wzrok. Mama JaKory’ego spotykała się z Philipem już od roku, a JaKory często wspominał, że nigdy nie widział jej tak szczęśliwej.

– Co?! – wykrzyknęła Maritza. – Kiedy?

– W zeszłym tygodniu, kiedy mieliśmy testy końcowe – mruknął.

– Nie miałem ochoty o tym gadać. Wolałem skupić się na nauce.

Wymieniłyśmy spojrzenia. JaKory strasznie się martwił o mamę. Rozwiodła się z jego ojcem lata temu, a JaKory ciągle się przejmował, że jest samotna.

– Co się stało? – spytałam łagodnie.

– Powiedziała, że za bardzo się różnią. Że ich związek jest jak trąba powietrzna, a nie spokojne błękitne niebo.

– Twoja mama to prawdziwa poetka – zauważyła sarkastycznie Maritza.

– A jeśli mam samotność w genach? – zapytał cicho JaKory.

– A jeśli nigdy nie zaznam miłości, bo do nikogo nie pasuję, tak jak moi rodzice?

– Och, Kory, jasne, że zaznasz – odparła Maritza.

– Na pewno kogoś spotkasz – dorzuciłam, patrząc mu prosto w oczy. – Jesteś tak wspaniały, że inne opcje są wykluczone.

Ale wypowiadając te słowa, poczułam w brzuchu niepewny ucisk. Skoro byłam taka przekonana, że JaKory kogoś sobie znajdzie, to czy nie mogłam uwierzyć, że podobnie będzie w moim przypadku? A jednak za nic nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak i kiedy miałyby to nastąpić.

Maritza widocznie podzielała moje obawy, bo objęła głowę rękami i rzekła:

– Wszyscy kogoś sobie znajdziemy. Muszę tylko wymyślić jak.

Brzmiało to raczej jak życzenie niż przekonanie. Po raz drugi tego dnia przyłapałam się na tęsknocie za czymś pozostającym daleko poza moim zasięgiem.

Nagle usłyszeliśmy skrzypnięcie otwieranych na górze drzwi, a potem tupot kroków na schodach. Usiadłam czujnie wyprostowana, a JaKory szybko zatrzymał nasz gejowski film; na szczęście na ekranie akurat widniało jedynie wnętrze mieszkania głównego bohatera.

Zza rogu wypadł Grant, mój młodszy brat. Szybkim ruchem odgarnął włosy z czoła. Sprawiał wrażenie spoconego, jak to

czternastoletni chłopcy, nawet kiedy nie są spoceni. Nogi mu się wydłużyły i były tak chude, że wyglądał, jakby biegał na szczudłach.

– Zawieziesz mnie dziś wieczorem do kina? – zapytał bez tchu.

Popatrzyłam na niego totalnie zaskoczona. O nic mnie nie prosił od wielu miesięcy, od czasu, gdy wszedł w fazę gwałtownego rozwoju i zaczął „czuć się sobą”, jak to ujął tata. Wcześniej byliśmy całkiem blisko – raz Grant nawet zatańczył do jednego z naszych układów pod utwór Céline Dion – ale w ciągu ostatniego roku zaczął odnosić sukcesy w sporcie i spędzać więcej czasu z kumplami, więc szybko stało się dość jasne, że widzi we mnie tylko nudną starszą siostrę.

– A mama czy tata nie mogą cię zawieźć? – spytałam.

– Idą na tę imprezę firmową z pracy mamy – odparł Grant, przewracając oczami. – Powiedzieli, żebym cię zapytał. Mama stwierdziła, że nie bez powodu dają ci kasę na paliwo. To jak? Zawieziesz mnie?

– Nie wiem, może. Później zapytaj.

Odrzucił głowę do tyłu zrezygnowanym gestem.

– Ej, no weź, Codi, wszyscy moi znajomi idą!

Nie znosiłam, kiedy Grant wspominał o „wszystkich” swoich znajomych. Zawsze odnosiłam wrażenie, że mówi tak specjalnie, celowo podkreśla, że spotyka się z całą armią przyjaciół, podczas gdy ja mam tylko Maritzę i JaKory’ego.

– To tylko pięć minut stąd – drążył Grant. – Poza tym i tak nic nie robicie.

– Spędzamy miło czas – odparłam, wskazując na Maritzę i JaKory’ego.

– Ale niby jak? Tylko siedzicie w piwnicy, jak zwykle.

Poczułam, że twarz mi płonie. Mój młodszy brat od pewnego czasu wykazywał tendencje do okrucieństwa. Może nie ujawniały się często, ale nigdy nie wiedziałam, jak zareagować.

– Grant – wtrąciła Maritza. – Jeśli chcesz podwózkę, spróbuj poprosić tak, żeby przy okazji nas nie obrażać.

Często zwracała się do niego tak, jakby to ona była jego starszą siostrą. Pewnie dlatego, że tyle razy spędzała u nas całe wakacje, a Grant łąził za nią, próbując jej zaimponować łamanym hiszpańskim, a może dlatego, że była jedynaczką, która zawsze marzyła o rodzeństwie. Kiedyś byłam dumna, że Maritza czuje z nim taką bliską więź, ale ostatnio zaczęło mnie to wkurzać. Nie mogłam znieść poczucia, że między mną a Grantem wyrósł mur, a jej zachowanie, jakby to ona była tą fajną, opanowaną starszą siostrą, sprawiało, że czułam się jeszcze gorzej.

Grant mocno wciągnął powietrze nosem.

– Gdybyście zechcieli podrzucić mnie dziś wieczorem do kina – powiedział spokojnym, pozbawionym emocji tonem – to byłbym bardzo wdzięczny.

Wbiłam w niego wzrok. Bardzo mnie kusiło, żeby odmówić, ale Maritza najwyraźniej czytała mi w myślach.

– Codi – rzuciła.

Zignorowałam ją, zrobiłam głęboki wdech.

– Dobra. Coś jeszcze?

Grant spojrzął na telewizor.

– Co oglądacie?

– Nic – odparliśmy zgodnym chórem.

Popatrzył na nas podejrzliwie, ale w końcu wzruszył ramionami, wypadł z pokoju, popędził na górę i trzasnął drzwiami.